

nowa
proza
polska

Jerzy Pilch

Marsz Polonia



Świat Książki

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Projekt okładki
Małgorzata Karkowska

Reprodukcja obrazu B.W. Linkego *Czerwony autobus*
Teresa Żółtowska-Huszczka

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk
Jadwiga Piller

Copyright © by Jerzy Pilch 2008
Copyright © for the Polish edition
by Bertelsmann Media sp. z o.o., 2008

Świat Książki
Warszawa 2008
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1942-6
Nr 45008

Pamięci Pawła Pilcha
1924–1943

I

W Imię Ojca i Syna, i Ducha Opowieści, Amen. W przeddzień mych pięćdziesiątych drugich urodzin postanowiłem, że nazajutrz poznam nową kobietę. Myśl ta kołatała się we mnie od dawna, ale tonacji definitywnej nabierała stopniowo.

Nie wszczynałem pustej zabawy, nie była to gra ani zakład. Nie przesadzałem z lekkością – miałem ambitny i poważny zamiar w ciągu dwudziestu czterech godzin spotkać, poznać i uwieść inteligentną, szczupłą i mierzącą najmniej metr siedemdziesiąt dziewczynę lekko przed trzydziestką.

Chciałem sprawić sobie intensywny prezent i chciałem sprawdzić, czy stać mnie na sprawienie sobie intensywnego prezentu. Na oko byłem w formie, ale czułem, że mieszkający we mnie potwór zaczyna zdychać. Wciąż cieszyłem się marną reputacją – w istocie jechałem na opinii. Wbrew pozorom cynizm nigdy nie był moją mocną stroną; ironia i instrumentalna perspektywa moich opowieści o kobietach miały osłaniać wyrządzone im krzywdy – teraz resztkami cynizmu,

ostatkami ironii i pozorami instrumentalizmu maskowałem rozpacz i tęsknotę.

Co najmniej od roku trawiły mnie złe przecucia, serce dygotało, transcendencja dawała coraz wyraźniejsze znaki. Szukałem ulgi w pisaniu wspomnień i słuchaniu muzyki. Wspomnienia koiliły nerwy na krótko, ale bez konsekwencji; muzyka dawała wytchnienie długie i głębokie, ale z konsekwencjami koszmarnymi: pustka po *Czarodziejskim flecie* bywa nie do zniesienia, kace po przedawkowaniu arii Glucka są nie do przeżycia. Mimo to ciągnęło mnie do najwyższej spośród sztuk jak jasny gwint, ciągnęło mnie do słuchania jak kiedyś do picia. Pociąg ten odzwierciedlał się w moim życiu miłosnym: muzyczne w nim przeważały muzy.

Rozdarty byłem w tym czasie pomiędzy rozpoczynającą wielką karierę tancerką baletową, rozwijającą wielką karierę śpiewaczką operową i rezygnującą z wielkiej kariery skrzypaczką o bujnej przeszłości.

Poza tym – ma się rozumieć – wydzwaniałem do rozmaitych dziewczyn, uwodziłem modelki, kelnerki i licealistki; pod pretekstem nauki języków obcych prowadziłem nieustanny casting lektorek; byłem w ryzykownych poufałościach z apetycznie tustawą studentką medycyny; przepadałem za rozmowami z filigranową i zupełnie nie w moim typie historyczką literatury anglosaskiej; nie potrafiłem się oprzeć magnetycznemu urokowi poznanej zupełnym przypadkiem kruczowłosej wirtuozki interpunkcji, czekałem, aż pewna młodziutka robotnica najemna wróci z Dublina (na telefony do niej wydawałem masę pieniędzy); sławna swego czasu sprinterka, z którą w roku 1999

miałem ostry romans, mieszkała niedaleko i dalej stanowiąca nie lada pokusę; nieraz wracałem myślami do Majki (wysoka, wiotka brunetka) i Magdy (masywna, przysadzista albinoska), które odwiedzały mnie zeszłego lata i były równie napalone na mnie, jak na siebie; całkiem serio rozważałem małżeństwo z pewną estońską milionerką, nie stroniłem od ulicznych dziwek i wciąż miewałem wzmagające chaos porywy, że kluczowa znajomość przede mną.

Jednakże śpiewaczka, baletnica i skrzypaczka były trzema filarami mojego zamętu. Związek ze śpiewaczką (zwaną przez krytyków muzycznych: Krtanią Anioła) był najdłuższy, najintensywniejszy i najbardziej skomplikowany. Baletnica trwała krótko: poza organizmem żadne z ludzkich uczuć nie miało do niej dostępu. Skrzypaczka pojawiła się dopiero co i urok roztaczała nieziemski. W domenie głębokich uczuć raczej się nie mieściła, ale widoczny w dekoltach cień pomiędzy jej piersiami miał siłę wielkich ruchów społecznych.

Była z całej trójki najstarsza, najpiękniejsza i najbardziej ześwirowana. Miała czterdziestkę z mocnym hakiem, karnację o sepiowym blasku, kruche rysy i figurę trenerki fitnessu. Czasem sprawiała wrażenie najmądrzejszej osoby na ziemi, czasem nie ulegało wątpliwości: nie kuma niczego.

Utrzymywała, że obdarzona jest darem Ducha Świętego i czyta ludzkie myśli; chodziła do psychoterapeuty, którego podczas męczeńskich seansów wykańczała nerwowo; przez pięć dni w tygodniu odżywiała się kielkami pszenicznymi, we wtorki i czwartki

ćwiczyła na siłowni; w weekendy nie wstawała z łóżka, piła gorzką żołądkową wprost z butelki i obżerała się jak zwierzę.

Przez telefon wygadywała niebывałe świństwa, piła wstrząsająco pornograficzne esemesy i słała pełne wszelakiego zepsucia mejle – całymi jednak tygodniami nie pozwalała się nawet pocałować.

Na domiar wszystkiego uwielbiała japońskie knajpy i tylko tam się umawiała. Najprostsze w świecie wspólne pójście do kina, teatru, na koncert czy spacer – w jej wypadku odpadało. Zawsze wykręcała się brakiem czasu, choć w sumie nie wiadomo co w istocie robiła; co najmniej od roku nie grała, nie ćwiczyła, nie poszerzała repertuaru, nie miała prób, nie dawała lekcji. Była mężatką, ale od lat w separacji; nawet jeśli łączyły ją z odseparowanym małżonkiem jakieś interesy – nie były one czasochłonne. Tak wszakże czy tak – pole działania miałem ograniczone: w grę wchodziły jedynie esemesy, mejle i japońskie knajpy.

Korespondencję uprawiałem z zapalem; japońskich knajp nienawidziłem z całego serca. Nawet jakbym władał dalekowschodnimi pałeczkami, to i tak nie byłbym w stanie nimi władać: ręce mi się trzęsą jak Janowi Pawłowi II pod koniec życia.

Jedną roztrzęsioną ręką dziobałem w talerzu – drugą macałem skrzypaczkę pod stołem. – To bardzo miłe, co robisz, wicehrabio – mówiła – ale nie jestem jeszcze gotowa; zdaniem mego psychologa nie jestem jeszcze gotowa. Delikatnie wycierałem zatłuszczone sushi palce w przód jej stringów i cofałem dłoni.

Rozstawaliśmy się z wystudiowanym, choć niewy-

muszonym chłodem; przysięgałem sobie, że nigdy się z nią więcej nie spotkam ani się do niej nie odezwę. Po kilku dniach wyświetlał mi się na komórce ociekający wszelkimi możliwymi miłosnymi wydzielinami esemes – po godzinie odpisywałem, po tygodniu siedziałem w japońskiej knajpie, surowa ryba stała mi w gardle.

– Pawiem narodów dalekowschodnich jesteś i papuga – szeptałem bezgłośnie i ładowałem jej łapę pod spódnicę.

– Duch Święty widzi, co robisz – skrzypaczka uśmiechała się nie bez dodatkowo mnie mylącej przychylności. – To bardzo miłe, co robisz, książę, ale Duch Święty patrzy.

Delikatność, z jaką wycierałem palce w przód jej stringów, słabła, dłoń cofałem z rosnącą wyniosłością; historia trwała, ale nie szła w dobrym kierunku. Widywaliśmy się coraz rzadziej, mejle pisała coraz powściągliwsze, odpowiadałem byle jak.

Na ostatnim spotkaniu nie straszyla mnie ani psychologiem, ani Duchem Świętym, nie płoszyła moich palców, przeciwnie: pozwoliła im na wiele, a biorąc pod uwagę miejsce akcji (oryginalny, kurwa, „bezdymowy grill japoński” na Dobrej) – pozwoliła im na wszystko. Potem przełknęła ślinę i powiedziała:

– Nigdy nie będę twoja, żołnierzu. Pa.

Jak pa, to pa. Ranią – poranieni. Upokarzają – upokorzeni. Zdradzają – zdradzeni. W ostatniej chwili – by zranić, sprowokować, wzbudzić zazdrość, a może by rozpaczliwie ratować historię, która gasła, zanim się zaczęła – chciałem jej opowiedzieć o moich urodzino-

wych zamiarach. Wtedy wprawdzie zamiary te nie były jeszcze skrytalizowane, ich tonacja wystarczająco molowa – ale w desperacji byłem gotów mówić o nich pospiesznie, podniesionym głosem i z okrutną detalicznością. Nie zdążyłem. Tym lepiej.

II

Upały trwały nieprzebyte, słuchałem Bacha – jest w nim pewna śnieżność. Pokrywająca cały dzień ciało warstewka potu pod wieczór staje się warstewką szaleństwa. Do tego jeszcze dochodzi ryzyko najstraszliwsze: wyjść rano z domu. Urodziny nie urodziny – dla mnie wyjście rano z domu oznacza niechybną zgubę. Jeśli się wyjdzie przed południem z domu – to jak przeżyć popołudnie? Jeszcze parę lat temu byłem w stanie bezboleśnie i bez konsekwencji zostawić wszystko i przed południem wyjść – choćby po gazety. Teraz już nie. Teraz świątek, piątek siedzę przy biurku do szesnastej. Wstaję wczas rano i do szesnastej z drobnymi przerwami na kawę czy papierosy pracuję. Mam co robić. Zawsze miałem.

Różnymi zajęć w życiu się miałem. Różnymi, choć zawsze o zabarwieniu humanistycznym. Nauka – pięć semestrów polonistyki i dwa filozofii – nie poszła w las.

W latach siedemdziesiątych, gdy pierwsze dziewczyny zaczynały chodzić bez biustonoszy i gdy komu-

nizm chylił się ku upadkowi, choć nikt jeszcze o tym nie wiedział – byłem wpierw recenzentem filmowym w dziś już nieistniejącej krakowskiej popołudniówce, potem kościelnym w parafii ewangelickiej.

W latach osiemdziesiątych, gdy dziewczyny na imprezach rozbierały się bez specjalnych oporów i gdy komunizm był w całkowitej rozsypce, choć dalej nikt w to nie wierzył – byłem wpierw wicedyrektorem młodzieżowego domu kultury, potem korektorem w redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

W latach dziewięćdziesiątych, gdy wszystkie dziewczyny – i ubrane, i rozebrane, i w biustonoszach, i bez biustonoszy – nagle, dosłownie z dnia na dzień, stały się o wiele młodsze ode mnie, i gdy kapitalizm jął się tak bujnie na ziemiach polskich rozwijać, że część narodu zaczęła tęsknić za komunizmem – byłem wpierw rzecznikiem prasowym klubu piłkarskiego, potem wykładowcą na paru prywatnych uczelniach. Na Akademii Unii Europejskiej prowadziłem seminarium poświęcone problematyce filiacji kulturowych, później byłem prelegentem w Instytucie Analiz Rozpadu i Przetrwania Totalitaryzmu w Krajach Postkomunistycznych. Jeździłem po całej Polsce z odczytami i nie tylko do szesnastej, ale w ogóle i na okrągło nie było mnie w domu. Generalnie żyłem w udręce, choć nie ma co ukrywać: niektóre z moich odczytów, zwłaszcza odczyt *Miłość w kulturze krajów postkomunistycznych*, przysporzyły mi pewnej popularności i kilku panienek. Jako tako też wtedy zarabiałem. Grosz się mnie jednak nie trzymał. Jak się wszystkie zarobione pieniądze wydaje na kobiety –

i pieniędzy, i kobiet zawsze jest za mało. Żyję w ciągłej biedzie i wiecznym niedosycie. Nie boleję nad tym. Na oddychanie, jedzenie i picie – starcza. A oddycham, jem, piję i w ogóle podtrzymuję się przy życiu wyłącznie po to, by roztopiając się w dotyku kobiecej skóry, zapominać, że żyję.

Obecnie w Wyższej Szkole Rzemiosł Teatralnych prowadzę (wyłącznie – ma się rozumieć – po szesnastej, wyłącznie wieczorami) zajęcia z Dramatycznych technik pisarskich. Rano wstaję, biorę prysznic, narzucam na ramiona stary, granatowy prochowiec, słucham muzyki; piszę i poprawiam wspomnienia. O szesnastej gaszę lampkę na biurku, przebieram się, zamykam drzwi, obracam klucz, jadę windą. Pięć godzin później wracam, jadę windą, obracam klucz, otwieram drzwi, zapalam światło – wieczór, noc i zaranek dnia następnego są do przeżycia.

III

W dzień urodzin obudziłem się ze ściśniętym sercem – o koszmary mniejsza, były te, co zwykle. Kusiło mnie, żeby puścić początek *Ariodante* Haendla albo któryś z tańców, najlepiej *Trauerwalzer* Schuberta, ale wyhamowałem. Kojenie nerwów wciąga, a tu czas naglił. Wbrew pozorom nie żyjemy w epoce nadmiernej rozwiązłości. Tylko frajerom się wydaje, że dziś, by zdobyć panienkę, wystarczy wyjść na ulicę i mrugnąć.

Wyzaczyłem sobie dwadzieścia cztery godziny, ale – dajcie spokój – bez kabaretowej ortodoksji. Przewidywałem realistyczne luzy. Jak mecz ma się odbyć naprawdę, trzeba zakładać doliczony czas gry, a nawet dogrywkę. W głębi duszy dawałem sobie na poznanie nowej laski wręcz tyle, ile Chrystus na Zmartwychwstanie: cały weekend. Ale to nie znaczy, że należy opóźnić start. Nie należy.

Z zaciśniętymi zębami goliłem się, brałem prysznic, wdziewałem lniane spodnie, dżinsową koszulę, zamszowe półbuty. Nogawki, rękawy, guziki, sznurowadła, zamki błyskawiczne nigdy nie były moim roztrzęsionym rękom szczególnie posłuszne – teraz jakby zły duch je opętał. Nawyk siedzenia do szesnastej w domu okazywał się mocniejszy od niejednego upióra. Na dodatek zaczynałem – jak teraz mówią młodzi ludzie – łapać schizę, że łamię zasady i spotka mnie za to straszna kara: nie urodzinowy podryw, ale coś potwornego się zdarzy. Słowem, poranek – zwłaszcza jak na tak brawurowe plany – nie szedł jak z płotka. Nie mogłem jednak odpuścić: mój duch miał mnie na widelcu. Wiedział, że się boję, i tym bardziej kusił. Grał na ambicji. Nęcił wielką wygraną.

- Najpewniej ostatnią w życiu.
- O ile wcześniej mnie szlag nie trafi.
- Spokojna głowa.

W końcu byłem gotów. Trzeszczącą gomułkowską windą zjeżdżałem na ziemię, dochodziła dziewiąta rano, brudnożółta pętla upału już była zadziergnięta.

Zaczynał się dzień, który kiedyś był nieskończonością; zaczynał się dzień, który kiedyś dzielił się na bezmiary czasu, a teraz był okamgnieniem. Zaczynały się moje urodziny, które kiedyś miały zapach floksów; teraz swąd topniejącego asfaltu unosił się nad ulicą Hożą.

Rozejrzałem się uważnie, spojrzałem w lewo, spojrzałem przed siebie, spojrzałem w prawo. Najbliżej miałem do pewnej sprzedawczyni ze sklepu całodobowego. Znałem ją wprawdzie z widzenia, co trochę zakłócało czystość idei poznania „kogoś nowego”, jak jednak od wieków wiadomo: Znajome z widzenia mogą wchodzić w grę pod warunkiem, że nie zna się ich imion.

Nie ja wymyśliłem tę świętą regułę podrywu ulicznego. Nie ja umieściłem taką preambułę na początku konstytucji wszystkich uwodzicieli świata. Wybitny, może nawet biblijny albo starogrecki klasyk to uczynił. Imię jego zapomniane – pamięć dzieła wiecznie żywa.

Upał eksplodował z północną siłą. Wiecie, o co chodzi. Upał w Rzymie czy Barcelonie – nic wstrząsającego. Prawdziwie wstrząsające upały bywają w Petersburgu. Warszawa tego dnia miała w sobie wystarczająco petersburski tropik.

Sprzedawczyni z całodobowego była całkiem niezła. Jeśli podejść do sprawy dżentelmeńsko: niewątpliwie koło trzydziestki. Na pewno: wysoka; kwestia szczupłości do wynegocjowania. Kiedyś, w czasach całodobowego kupowania gorzkiej żołądkowej, zamie-

niłem z nią dwa, a może nawet trzy alkoholiczne zdania, że: *gorzka słodka, ona też lubi, może kiedyś po kieliszku, i tak dalej*. Czysta retoryka. Czysta, ponieważ – ma się rozumieć – nigdy nic *dalej*. Do dziś. Dziś może być *dalej*, a nawet bardzo *dalej*! I nie tylko dlatego, że pod względem przestrzegania reguł byłem nieskazitelny: tysiąc razy gapiłem się na uwieszoną na jej ciężkawej piersi plakietkę i nigdy widniejących tam liter w całość nie złożyłem.

Skręciłem w lewo, minąłem zakład introligatorski, antykwariat mistrza Rocha, u którego niedawno nabyłem *Zaproszenie na ścięcie głowy* (obwoluta w stanie idealnym) oraz *Rzecz o mych smutnych kurwach* (pierwsze zdanie nie bez znaczenia). Minąłem włoską lodziarnię, która niebawem poszerzy asortyment o barszcz i pierogi, zakład tapicerski (którego szefem gardziłem, ponieważ wezwany do reperacji kanapy – zawiódł). Minąłem salon fryzjerski Doris, w którym już migwały obnażone ramiona najlepszych małolat z Hożej; minąłem sławnego szewca, do którego, celem skorygowania obcasów, zjeżdżały gwiazdy filmu i telewizji, minąłem równie sławną, a może nawet sławniejszą pralnię chemiczną; ciucholand, który niebawem stanie się garmażerią, piekarnię z licencją na wyszynk alkoholi lekkich, galerię bielizny; byłem tuż pod sklepem: trzej od lat nietrzeźwiejący kloszardzi kolebali się na krawężniku.

– Sąsiedzie – powiedział najtrzeźwiejszy i najśmielszy – zwróciłbym się do sąsiada z rytualną prośbą, ale sąsiad ma dziś nieprzychylny wyraz twarzy. Sąsiad ma dziś tak niewyraźną minę, jakby, za przeprosze-

niem, Instytut Pamięci Narodowej nie przyznał sąsiadowi statusu pokrzywdzonego. Trafnie zgaduję?

– Zupełnie nietrafnie – warknąłem.

– Ale w ogóle to poczynił sąsiad starania? Złożył sąsiad odpowiednie podanie?

– Nie. Nie złożyłem. Panowie złożyli?

– A jakże, złożyliśmy. I nie dalej jak wczoraj otrzymaliśmy listy agentów, którzy nas inwigilowali.

Ku mojemu najwyższemu zdumieniu wszyscy trzej kloszardzi jęli wydobywać zza pazuch arkusze opieczętowanych dokumentów.

– Tak – ciągnął przewodnik tercetu – otrzymaliśmy listy agentów, którzy na nas donosili w stanie wojennym i obecność niektórych nazwisk na tych listach wstrząsnęła nami. Jesteśmy w potrzebie i jest to potrzeba większa niż zwykle.

Sięgnąłem do kieszeni. Uspokojeni, a może ożywieni moim gestem, jęli wymownie potrząsać ipeenowskimi papierami, rysom nadawali męczeństwo i wykrzykiwali jeden przez drugiego:

– Wstrząsająca lektura! Bolesna lektura! Pełna smutku lektura!

Wetknąłem w łakomie wysuniętą dłoń dziesięć złotych.

– Bóg zapłać. Ale nie darowałbym sobie, gdybym nie zapytał: Skąd taka szczodrość? Przy tak pesymistycznym wyrazie twarzy, skąd takie dobrodziejstwo? – Najtrzeźwiejszy i od lat sponsorowany przeze mnie kloszard przyglądał mi się z rzeczywistym współczuciem.

– Dziś są moje pięćdziesiąte drugie urodziny – wyjaśniłem; kloszardzi skłonili się i nagle – jakby wzru-

szenie moim wiekiem odebrało im mowę – zamilkli, ja zaś próg sklepu całodobowego przestąpiłem.

Wewnątrz panował kompletny aseksualizm. Tak jest zawsze, i nie tylko ze sklepami całodobowymi. Tak jest zawsze i z całym światem. Ilekroć ruszasz z domu z całkowitą neutralnością, bez cienia ubocznej myśli, bez śladu zmysłowej aspiracji – tylekroć świat zniecka wabi, maści we łbie, rozprasza uwagę, mnoży pokusy, stawia na drodze swe najbardziej pochopne i najryzykowniej wydekoltowane mieszkanki. I na odwrót. Ilekroć człowiek rusza w świat szeroki, wiedziony nawet nie tyle seksualnym głodem, ile potrzebą doznania zmysłowego podziwu, tylekroć w koło zero zmysłowości. Idziesz ludną ulicą i wszystko wokół ciebie tak chłodne, tak zakryte, tak szczelne, tak nieprzychylne, tak zajęte sprawami naprawdę ważnymi, że kulisz się w poczuciu własnej haniebnosci: jesteś jedynym przechodniem, który łakomie się gapi na reklamę biustonosza, jesteś jedynym facetem w Polsce, który czuje zapach ramion modelki wyobrażonej na banerze, jesteś jedynym na świecie opóźnionym w rozwoju i chorobliwie skupionym na płciowości gówniarzem; reszta świata i zwłaszcza reszta Polski jest zdrowa, poważna i dorosła.

Tysiąc razy to miałem. Tysiąc razy byłem jedynym niedorozwiniętym facetem na sali, jedynym w budynku, jedynym w teatrze, jedynym w kinie, jedynym w pociągu, jedynym w autobusie i jedynym w tramwaju. Jedynym w mieście, jedynym na ziemi. Urbi et orbi znane me gówniarstwo.



foto. Łukasz Kasprzycki

Jerzy Pilch (ur. w 1952 r. w Wiśle) – laureat Nagrody Fundacji Kościelskich (1989), Paszportu Polityki (1998) i nagrody literackiej Nike (2002). Opublikował m.in.: *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej* (1988), *Spis cudzołóżnic* (1993), *Rozpacz z powodu utraty furmanki* (1994), *Inne rozkosze* (1995), *Tysiąc spokojnych miast* (1997), *Bezpowrotnie utracona leworęczność* (1998), *Pod Mocnym Aniołem* (2000), *Miasto utrapienia* (2004), *Narty Ojca Świętego* (2004), *Moje pierwsze samobójstwo* (2006).

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).